Rok V. We Lwowie dnia 20. maja 1897. Nr. 20.

GAZETA KOŚCIELNA

Przedpłata: rocznie 5 zł. 50 ct.
półroczna 3 „ — „
kwartalna 1 „ 50 ct.

Rękopisów przyjętych do druku Redakcya nie zwraca.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM

ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.

Wychodzi co czwartku.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya plac Kapitulny l. 3 I piętro.

Inseraty przyjmuje się za opłatą 10 ct. od wiersza petitu.

Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

Z dziedziny bajek o Papieżach.

(Niewola aweniońska i skarb Jana XXII.).

Nieocenionej doniosłości dla badań historycznych i rozwoju nauki było *breve* Papieża Leona XIII., *Saepenumero considerantes* (18. VIII. 1883), którem polecił otworzyć archiwum Watykańskie dla wszystkich uczonych bez różnicy wyznań i narodów. Przedewszystkiem jednak samo papiestwo odniosło przez to największy tryumf — i to w rocznicę urodzin Lutra, tego twórcy największych oszczerstw na Papieży, bo pokazało, że światła prawdy się nie boi. Upadł też odrazu najsilniejszy argument, za który się wszyscy niechętni Papieżom historycy [1]), rzucając jadowite pociski na ich pamięć, jak za szaniec kryli, że nie mogą oszczerstw swoich dowieść, gdyż archiwum jest nieprzystępne. Teraz gołosłowne twierdzenie już nic nie znaczy, a natomiast prawda zwycięża coraz bardziej, w miarę jak sumienne badania postępują, bo odnoszą one wręcz przeciwny skutek, niż wielu przypuszczało i przyczyniają się do coraz większej chwały Papieży.

Papież Leon XIII. posuwa tak daleko wspaniałomyślność swoją, że n. p. profesorowi w Insbrucku, L. Pastorowi, pozwolił czynić poszukiwania w tajnem archiwum. To nic, iż skutek tych badań był dla prywatnego życia Pap. Aleksandra VI tak fatalny, że odtąd wszelka obrona jego stała się niemożliwą; najpierw bowiem odpadły wszelkie inne fantastyczne kłamstwa, które na pamięć tego Papieża przez całe wieki naprowadzono, a powtóre pokazała się i na nim prawda słów św. Leona W.: *Petri dignitas etiam in indigno haerede non deficit* — bo nawet ten Papież żadnego błędu w nauce, ani dyscyplinie kościelnej nie popełnił.

Nie dziw, że obrona papiestwa tak posunęła się olbrzymim krokiem od pierwszej tego rodzaju pracy, podjętej przez Döllingera przed 30 laty [2]), że dzisiaj już tylko pisarze najniższego rzędu powtarzają takie stare plotki jak n. p. o Joannie papieżycy. Naukowe badania spopularyzowało w Niemczech trzech autorów, w znanej książce p. t. *Kłamstwa historyczne*, która w niespełna 10 latach doczekała się 10 wydań [3]).

[1]) L. Pastor. Geschichte der Papste seit dem Ausgang des Mittelalters. Bd. III. Von der Wahl Innocenz VIII. bis zum Tode Julius II. Freiburg 1895, p. 473. Cfr. Chotkowski *Przegląd Powszechny*, Kraków 1896. Tom XLIX. str 290—296.

[2]) J. J. v. Döllinger. Die Papstfabeln des Mittel-Alters. Munchen 1863.

[3]) *Geschichtslügen*. Eine Wiederlegung landlaufiger Entstellungen auf dem Gebiete der Geschichte, mit besonderer Berücksichtigung der Kirchengeschichte, ed X. Paderborn 1895

Badania archiwalne i wydawnictwa źródłowe idą obecnie z wielkim pospiechem, bo wszystkie rządy współzawodniczą w tej szlachetnej gonitwie naukowej i nie szczędzą kosztów na utrzymanie komisyi, na ten cel przebywających w Rzymie. Rząd francuski prym trzyma w tej mierze, a t. zw. „Szkoła Aten i Rzymu“ zajmuje się przeważnie wydawnictwem regestów Papieży Francuzów. Utrzymuje też osobną komisyą w Rzymie rząd austryacki, a wiadomo, że i polska komisya, zorganizowana przy pomocy sejmu przez prof. Smolkę, od kilku lat czyni poszukiwania archiwalne w Rzymie.

Wyniki rozległych badań naukowych nie mogą jednak odrazu przeniknąć do ogółu, dla którego są nieprzystępne i dla tego niejedno jeszcze pokutuje, nawet po kompendyach historyi kościelnej, co już dawno zostało przez naukę jako błąd wyjaśnione. Do takich zaś błędów i bajek historycznych liczy się podanie o skarbie olbrzymim, który miał zostawić aweniński Papież Jan XXII.

Najpierw jednak trzeba zwrócić na to uwagę, że sama nazwa, jaką dotąd historycy niemieccy piętnowali pobyt Papieży w Awenionie, zowiąc go *niewolą babilońską*, albo w łagodniejszej formie *aweniońska niewolą*, jest nonsensem, a przecież dotąd u nas, nawet w najświeższych kompendyach szkolnych, się błąka. Wystarczy tu wskazać na to, że Papieże aweniońscy, z wyjątkiem jednego Klemensa V., który też w Awenionie wcale nie mieszkał, tylko w Lugdunie, w niczem nie byli zawiśli od królów francuskich, w czasie 60-letniego pobytu na własnem terytoryum, które do Francyi wcale nie należało i we własnem mieście, które za własne pieniądze kupili.

Dowodził tego obszernie, już przed ćwierć wiekiem, znany historyk Hofler [4]), więc powtarzać tego nie będziemy. Zwrócimy tylko uwagę na trafne wywody znakomitego socyologa, ukrywającego się pod przezwiskiem Albertus [5]), który zwraca uwagę na to, że pobyt Papieży we Francyi, którego tak pragnęli i którego dopiął Filip IV. Piękny, stał się dla nich takiem samem źródłem klęsk, jak arka przymierza dla Filistynów, gdy ją odebrali żydom w bitwie pod Aphek. Gdyby następcy Filipa Pięknego na tronie francuskim, byli posiadali swego poprzednika przebiegłość i energią — a następcy Klemensa V. na Stolicy Apostolskiej, tę samą co on uległość i brak woli, wtedy byliby zeszli na usługi i powolne narzę-

[4]) Dr. C. Hofler. Die Avignonensischen Papste. Ihre Machtfulle und ihr Untergang. Wien 1871.

[5]) J. Albertus. Die Sozialpolitik der Kirche. Geschichte der sozialen Entwickelung im christlichen Abendlande. Regensburg 1881, p. 350—360.

dzia królów francuskich. Ale Opatrzność chciała inaczej i dla tego Papieże awenionscy byli jeden w drugiego energiczni, pracowici i świątobliwi, podczas gdy królowie francuscy byli słabi i niedołężni, a Francya zeszła do ostatniego stopnia upadku moralnego, społecznego i politycznego. Natomiast dźwignęła się z tego upadku nagle i cudownie przez Dziewicę Orleańską, gdy zaprzestali marzeń o własnym Papieżu i popierania pretendentów do tyary papieskiej w t. zw. *bellum civile*, które oni wywołali. Wtedy to niedołężny król (Karol VII.), który sam nigdy nie zwyciężył, otrzymał przydomek zwycięskiego *(le victorieux)*.

Niemcom był oczywiście ten pobyt Papieży we Francyi solą w oku i do dziś go strawić nie mogą, nie dziw więc, że go *Babilonisches Exil* nazywają; ale Polacy, jak świadczą n. p. stosunki Kazimirza W. z Pap. Urbanem V., który akademią krakowską zatwierdził, całkiem inaczej na to się zapatrywali. Czasby więc już był zaprzestać tego powtarzania za Niemcami, jak pacierza za panią matką, przed naszą młodzieżą po szkołach, bajki o niewoli babilońskiej czy aweniońskiej.

Również przyszedł czas na poniechanie bajki o skarbie olbrzymim, który miał zostawić aweniouski Papież Jan XXII. (1316—1334) i rzekomej chciwości Papieży.

Wiadomość o tym skarbie powtarzali dotąd wszyscy, w dobrej i złej wierze, za sławnym kronikarzem florenckim Villani [1]), który rozgłosił światu, że skarb ten wynosił 25 milionów dukatów t. j. 18 milionów w gotówce, a 7 milionów w klejnotach. Obliczywszy to wedle dzisiejszej wartości, wynosiłby ten skarb 1 miliard marek! — Nie dziw, że i najgorliwsi katolicy byli taką olbrzymią sumą skandalizowani. Nieprzyjaciele zaś Kościoła przedstawiali Papieży tak, jak to świeżo uczynił znany pornograf, Zola, który w swojej książce p. t. *Rome* przedstawił chlubę wieku XIX. Pap. Leona XIII., jako siedzącego nad skarbami i liczącego pieniądze... Nawet radykałom francuskim było tego za wiele, bo chyba głupi nie wie, jakie jest obecne położenie Papieża.

Wszelako kronikarz florencki, Villani, był uczciwszy niż Zola, bo kłamstwa nie wymyślił, tylko go zapożyczył — i to w dobrej wierze — od takiego świadka, który mógł coś o tem wiedzieć. Tym świadkiem był poczciwy, ale ograniczony brat zakonu św. Franciszka, Minoryta Alvarus Pelagius, spowiednik Pap. Jana XXII., który aż płakał [2]), tak się gorszył tem, że widział na dworze papieskim pieniądze.

Wiadomo jednak, że właśnie w owe czasy wielu synów św. Franciszka przesadnie pojmowało ubóstwo ewangeliczne. Dziecko swojego czasu, ubogi zakonnik, Alvarus Pelagius, brzydził się więc mamoną i nie dziw, że go przejmowała zgroza, ile razy wszedł do pokoju podkomorzego papieskiego, Kaspra Duval i widział go liczącego złoto. O jednej rzeczy tylko nie pamiętał, że był na wielkim dworze, a nie w klasztorze. Nie rachował też złota, tylko na chybił trafił coś o skarbie wspomniał. Villani już z precyzyą sumę podał i dotąd wszyscy mu wierzyli.

Dopiero przed 8 laty poruszył tę sprawę historyk Ehrle, który zajmował się specyalnemi badaniami archiwum aweniońskiego. Znalazł tam bowiem bardzo ciekawy dokument t. j. rachunek, a raczej inwentarz z r. 1342, sporządzony przez wspomnianego już podkomorzego papieskiego Kaspra Duval, który ustępował miejsca podskarbiemu Klemensa VI., Ademaroni Ametii. Wedle tego inwentarza wynosił skarb papieski w 8 lat po śmierci Jana XXII. 550.000 dukatów. Z tego wnioskował Ehrle [3]), że około 150 000 zostało wydanych na koszta pogrzebu Jana XXII. na konklawe i koronacyą, oraz pierwsze lata panowania Benedykta XII. tak, że cały skarb Jana XXII. mógł wynosić 700.000 dukatów. To przypuszczenie zaś popierał tym słusznym argumentem, że dochody papieża wynosiły, wedle ksiąg rachunkowych aweniońskich, 200—250 tysięcy, a rozchody 120—180 tysięcy, przeto nie mógł Jan XXII. przy całej swej oszczędności, przez 16 lat swego pontyfikatu, zebrać więcej niż 700.000 dukatów. O tem zaś, żeby mógł odkładać co rok milion lub więcej, wcale niema mowy.

Ta hipoteza Ehrlego okazała się zupełnie słuszną, bo świeżo właśnie potwierdza ją nowe odkrycie. Sagmüller [4]) znalazł bowiem Bullę Benedykta XII. *Digne agere credimus* (7. kwietnia 1355), w której najszczegółowiej wymienione są wszystkie zasoby pieniężne, znajdujące się w skarbie Jana XXII. Sporządził ten inwentarz tenże sam Gasbert Duval z polecenia kolegium kardynalskiego i policzył wszystkie gatunki monet, jakie w skarbie się znajdowały. Sagmüller redukuje więc wszystkie te pieniądze, aż do najdrobniejszych, na czerwone złote i dochodzi do sumy 775.000 dukatów, a więc znajduje sumę prawie taką samą, jaką przypuszczał Ehrle.

Co się zaś tyczy kosztowności, to i te łatwo ocenić dla tego, że wszystkie naczynia złote i srebrne *(calices, vasa, ornamenta)* były ważone i oceniane wedle grzywien. Podano zaś $2355^3/_4$ uncyi złota, a srebra 4560 grzywien, 5 uncyi i $3^1/_2$ ćwiertni — co razem czyni 41.000 czerw. złotych. Razem tedy cały skarb wynosił 816.000 czerw. złot. Przypuściwszy więc nawet, że w tym obrachunku zaszła jaka niedokładność, to jednak bajka o skarbie olbrzymim Jana XXII. została raz na zawsze pogrzebana.

Wartość tego skarbu wedle dzisiejszych stosunków walutowych oblicza Sagmüller w ten sposób, że każdy czerwony złoty szacuje na 10 marek, a ponieważ dzisiejsza cena złota jest 4 razy większa, przeto skarb ten wart byłby dzisiaj 32 miliony marek — co wobec dzisiejszych milionowych budżetów i miliardowych długów wszystkich państw jest sumą bardzo skromną.

Taki skarb mógł się wydawać olbrzymim w oczach ubogiego zakonnika Alwaru Pelagiusza, ale na stosunki, w jakich się awenionscy Papieże znajdowali, nie był zbyt wielkim. Dowodzi tego gruntownie Finke, profesor historyi kościelnej w Monasterze, w bardzo ciekawej polemice przeciwko profesorowi w Lipsku Lamprechtowi, którego „historya niemiecka" wielki znalazła rozgłos [5]).

Należy bowiem mieć na uwadze, iż żaden Papież nie porzucał myśli podjęcia krucyaty, a wiadomo, że Papież w pierwszym rzędzie musiał dostarczać pieniędzy na koszta takiego przedsięwzięcia. Dlatego też całe chrześcijaństwo płaciło wówczas osobny podatek do skarbu papieskiego t. zw. dziesięcinę krzyżową *(decima cruciatae)*, którą zbierali kolektorzy papiescy po wszystkich krajach [6]).

Nikt też zaprzeczyć nie może, że Papieże potrzebowali wielkich zasobów pieniężnych na utrzymanie licznego dworu, kolegium kardynalskiego, biór i urzędników, na rozliczne po-

[1]) Villani. Historie Florentine l. IX. c. 20, ed. Muratori, Rerum Italicarum Scriptores Mediolani 1732, XIII. 765.

[2]) Alvarus Pelagius. De planctu Ecclesiae, desideratissimi libri duo. Lugduni 1517.

[3]) Ehrle. Die „25 Millionen" Johanns XXII. Archiv fur Literatur und Kirchengeschichte des Mittel-Alters. 1889, V. 159. Cfr. Historisches Jahrbuch XI. 566.

[4]) J. B. Sagmüller. Der Schatz Johanns XXII. Historisches Jahrbuch XVIII. (1897) 36—57.

[5]) G. Finke. Die kirchenpolitischen und kirchlichen Verhaltnisse zu Ende des Mittel-Alters nach der Darstellung C. Lamprechts. Eine Kritik seiner Deutschen Geschichte. Supplement-Heft. Römische Quartalschrift 1892. — Lamprecht, którego historyi niemieckiej wyszedł tom I. r. 1892, a tom V. w 2 częściach roku 1895, odpowiedział na krytykę Finkego w *Monatsblätter der Deutschen Zeitschrift fur Geschichtswissenschaft* Nr. 9. Dezember 1896. — Na to odpowiedział Finke w osobnej broszurze: *Genetische und klerikale Geschichtsauffassung.* Eine Antwort an Professor Dr. Lamprecht von Professor Dr G. Finke. Munster in W. 1897. Cfr. G. Schnuror. Lamprechts Deutsche Geschichte. Histor. Jahrbuch XVIII. (1897) 88—116. — „Histor. politische Blatter". Zum Streit Lamprecht-Finke, 119, 4, (1897) 312—315.

[6]) Cfr. A. Gottlob. Die papstlichen Kreuzzugsteuern des XIII. Jahrh. Heiligenstadt 1892. — J. P. Kirsch. Die papstlichen Kollektorien in Deutschland wahrend des XIV. Jahrh. Paderborn 1893. — Rationes Collectorum Pontificiorum Hungariae. Budapest, 1887.

trzeby chrześcijaństwa, wspieranie Kościoła w Rzymie, na odbudowanie zgorzałego Lateranu i t. d. W takich stosunkach, w jakich wówczas aweniońscy Papieże się znajdowali, byłby ubogi Papież wzgardzonym nędzarzem, byłby na prawdę popadł w gorszą jeszcze niż babilońską niewolę.

Uznawało też to całe chrześcijaństwo, a najlepszy dowód jest w tem, że nawet Niemcy, którzy najskorsi byli do narzekania na „zdzierstwo Papieży", przyznali im w konkordacie aszafenburskim (1448) wszystko, co w zaciekłości stronniczej pokasował zbór Bazylejski t. j. rezerwacye, annaty, prowizye i taksy. W miarę zaś, jak gospodarstwo finansowe kamery papieskiej, przez liczne najnowsze publikacye [1]), wychodzi na jaw, przestają też i historycy nieuprzedzeni powtarzać bajkę o rzekomych zdzierstwach Papieży. Sprawdza się więc to, co powiedział Chrystus Pan: *veritas vos liberabit!*

X. Chotkowski.

O potrzebie, programie i założeniu Dziennika katolickiego.

(C. d.) 2. Nie wyrugujemy zasad przewrotnych, ani nie zdołamy osłabić i zniweczyć prądów złych, jeżeli nie przeciwstawimy im zasad zdrowych, a więc nie na prędce improwizowanych albo osnutych na abstrakcyjnych teorymatach i fantastycznych mrzonkach, ale opartych na prawdzie od wieków doświadczonej i wszechstronnie wypróbowanej. Oczywiście niepodobna trzymać się tych zasad, jeżeli ich się nie zna i to tak gruntownie, żeby nas w nich żadne zarzuty ani trudności i przykrości nie zachwiały. O ile te zasady odnoszą się do codziennego i, że je tak nazwę, pospolitego życia, z pewnością ambona, katechizm i konfesyonał wystarczają, aby się ogół z niemi dostatecznie obznajomił. Inaczej jednak gdy chodzi o prawdy dotyczące stosunków szerszych, jak n. p. politycznych, społecznych, ekonomicznych i t. p. Bezwątpienia i tu obowiązuje dziesięcioro Bożego przykazania etc., ale unormowanie tych stosunków według zasad katolickich jest oczywiście o tyle trudniejszem, o ile te stosunki są więcej zawikłane z powodu różnorodnych i sprzecznych ze sobą interesów. Już pogańscy Rzymianie doskonale rozumieli, że nieraz *summum jus* jest *summa injuria*, czyli że sam wymiar sprawiedliwości staje się niesprawiedliwością, ilekroć nie uwzględnia się należycie nierówności u ludzi i w ludzkich stosunkach koniecznej. Tem mniej nam, którym prócz doświadczenia, jakiego zaczerpnąć możemy z znajomości historyi ubiegłych wieków i nieustannych w nich zapasów między duchem pogańskim a prawdą chrześcijańską, przysługuje możność i obowiązek trzymania się nieomylnego objawienia Bożego, nie wolno zamykać oczu na te trudności, jakiemi najeżone jest regulowanie wszelkich stosunków publicznych. Zresztą sama ilość najrozmaitszych teoryi, jak uszczęśliwić świat, które wymyślano w ubiegłych wiekach, począwszy od Arystotelesa i Platona, a skończywszy na żyjącym jeszcze Spencerze, a które w naszych czasach mnożą się jak grzyby po deszczu, dostatecznie wykazują rzeczywiste istnienie trudności, o których tu mowa. Trudności te są tem większe dla dzisiejszego pokolenia, żeśmy wzrośli i wychowali się w atmosferze niestety wcale nie chrześcijańskiej i żyli się z stosunkami i urządzeniami publicznemi zgoła nie licującemi, pod wielu przynajmniej względami, z prawem i z prawdą Bożą. Ztąd się dzieje, że pełno jest rzeczy z stanowiska katolickiego najniedorzeczniejszych, które nas jednak wcale nie rażą, a nawet wielom się zdaje, że inaczej urządzić ich nie można, a więc i nie trzeba, chociaż bynajmniej nie przeczą, że są złe i ze wszech miar szkodliwe.

Otóż dla wyświecania zasad katolickich w tym praktycznym kierunku potrzeba dziennika katolickiego, w whichrymby specyaliści w małych, a tem samem też strawniejszych, lecz częstych i przez to skutecznych dawkach wyłuszczali szerokim kołom zasady katolickie. A wielki czas, żeby rączo do tego się zabrać, jeżeli przewrotne zasady i urządzenia nie mają w dorastającem pokoleniu więcej i gorzej jeszcze zatruć ducha narodu, niż to w naszem pokoleniu się stało

3. Kupa materyału budowlanego, to jeszcze nie dom, w którymby można znaleść schronienie; cztery konie nie stanowią jeszcze zaprzęgu, którego można użyć; zbieranina ludzi uzbrojonych bynajmniej nie jest wojskiem przydatnem do działania zaczepnego lub odpornego; podobnież i wielka liczba katolików wcale jeszcze nie jest siłą, a tem mniej potęgą, po której możnaby się czegokolwiek dodatniego spodziewać; to materyał tylko, mniej albo więcej dobry, z którego, a raczej z którym, dużo można zrobić, ale wprzód potrzeba go skupić i w jedną całość zorganizować.

Powie kto, że my katolicy mamy organizacyą i to najdoskonalszą jaka być może, bo mamy Kościół święty. Prawda, najzupełniejsza prawda, ale niestety i to jest prawdą aż nadto widoczną i bolesną, że my katolicy zamiast korzystać z tej organizacyi, jaką niezaprzeczenie mamy w Kościele Bożym i zamiast wobec walących się na nas niebezpieczeństw ścieśniać nasze szeregi, ledwie raczymy dbać o najpospolitsze przykazania kościelne, a o jakiejkolwiek prawdziwie katolickiej karności wiedzieć nawet nie chcemy; radzibyśmy, żeby Kościół niby rószczką czarodziejską usunął wszystko złe, a na pierwszem miejscu to złe, co nam w szczególności dolega albo zagraża; ale nawet nie pomyślimy o tem, że i my jako katolicy mamy święty obowiązek w miarę naszej możności wspierać działanie Kościoła i słowem i czynem i groszem, a choćby i poświęceniem naszych wygód, naszych widoków, naszych zachcianek, naszego czasu i naszego wszystkiego. Staliśmy się jak to wojsko, co wprawdzie nie wyrzekło się swoich sztandarów, ani nie podniosło rokoszu przeciw swoim wodzom, ale rozeszło, a raczej porozłaziło się po kwaterach i dla większej wygody swojej coraz więcej się rozdrabia i coraz więcej oddala od obozu i głównej kwatery; już natarł nieprzyjaciel i walka zawrzała, ledwie garstka walecznych i wodze bez żołnierzy bronią sławnych swoich i nigdy jeszcze niezwyciężonych sztandarów, a ogół rozrzucony na odległych leżach zatyka sobie uszy na hasła wodzów i na głos surmy wojennej i nie przerywając sobie gnuśnego swego *far niente*, jakby półsenny pociesza się, że Ko-

[1]) Gottlob. Aus der Camera Apostolica des XV. Jahrh. — Kirsch. Die Finanzverwaltung des Kardinalkollegiums. — L. König. Die papstliche Kammer unter Klemens V. u. Johann XXII. Tangl. Das Taxwesen der papstlichen Kanzelei vom 13 bis zur Mitte des 15 Jahrh. (Mittheilungen des Instit. fur osterr. Geschichtsforschung. XIII. 41, 4. — Histor. Jahrb. XIII. 550).

ściół jest niezwyciężony, więc nie upadnie, choć my będziemy stali na uboczu. Zapewne Kościół nie zginie, choćby mu Polski i Polaków zabrakło; a gdyby nawet wszystkie dzisiejsze narody katolickie miały go odstąpić, to Bóg przeniesie światło wiary i łaski do pogańskich narodów, nam dopuści powrócić do dziczy, z której nas przed wieki powołał, ale Kościołowi swojemu aż do skończenia świata upaść nie pozwoli. Kościół nas nie potrzebuje, ale my potrzebujemy Kościoła. Poza Kościołem żaden z nas, o ile jest człowiekiem, nie znajdzie zbawienia ani w tem, ani w przyszłem życiu; a o ile jesteśmy Polakami, musimy albo szczerze i niezłomnie stać przy Kościele, albo pochłonie nas nawała germańska, lub rozpłyniemy się w morzu wszechsłowiańskiem.

Cokolwiek w kraju mamy sobie wrogiego, liczebnie jest słabsze od nas, chociażby w jeden zlało się obóz; ale zato czy socyaliści czy Stojałowszczycy, czy radykali, czy wreszcie żydzi, silni są swoją organizacyą, swoją solidarnością i przedewszystkiem swoją karnością i godną lepszej sprawy niezmordowaną czynnością i ruchliwością swoją. Stronnictwa niewrogie Kościołowi, a dbające szczerze o dobro kraju i narodu, widocznie słabną i rozprzęgają się; — a my katolicy tak się urządziliśmy, że wyjąwszy dwa wiece, na których w całym szeregu rezolucyi rozwinięto szeroki program dalszej działalności, nic prawie o nas nie słychać. Jesteśmy, tego zaprzeczyć nie można, ale jesteśmy tak jakby nas nie było, — a nasza Galicya stała się podobną do tego pola, co zasiane pszenicą zachwaściło się do tego stopnia, że pszenicy prawie nic nie widać, ale same tylko chwasty, bławatki i maki. Jeżeli nie chcemy, żeby nas te chwasty zagłuszyły do szczętu, potrzeba nam czemprędzej zorganizować się, ale i wziąć się do pracy rączej i wytrwałej.

Jakieśkolwiek początki organizacyi mamy w związkach Kongregacyi Maryańskich, Lwowskich towarzystw i wszystkich stowarzyszeń katolickich w kraju; ale pracy, a pracy, jak się wyżej rzekło, rączej i wytrwałej? Oby jej tyle było, ile jest narzekań bezowocnych i rekryminacyi wzajemnych, szerzących tylko niechęć i niedowierzanie wzajemne. Pomiędzy rządzącymi słychać często twierdzenie, że społeczeństwo powinno samo stłumić niezdrowe prądy przeciwko niemu powstające, a z pośród rządzonych jeszcze częściej odzywają się głosy, że rząd i sądy i policya nie rozumieją, albo nie spełniają swoich obowiązków społecznych; świeccy narzekają, że Duchowieństwo nie dorównuje ani powołaniu swemu, ani teraźniejszej groźnej sytuacyi; księża nawzajem utyskują, że nie mają dostatecznego poparcia od świeckich; wszyscy prawie oglądają się tylko jeden na drugiego i każdy ma pretensye do tych i owych, że oni powinni coś zrobić, a sam ręce zakłada i nic nie robi, a w najlepszym razie krytykuje tylko jak najsurowiej, cokolwiek tylko poczęło się robić.

Żeby wyjść z tego położenia, wiele i bardzo wiele przeróżnych potrzeba rzeczy, ale na pierwszem miejscu i przed wszystkiem innem potrzeba dziennika katolickiego, któryby dzień w dzień przypominał, co trzeba i co można robić, dzień w dzień też zwracał uwagę na postępy i postępki naszych rozmaitych warchołów, mianowicie te, które wymagają w tem lub owem miejscu i w tym lub innym kierunku silniejszej kontr-akcyi, dzień w dzień podnosił, cokolwiek dobrego zdziałano ze strony katolickiej i tym i innymi sposobami wciąż pobudzał do coraz szerszej i wytrwalszej działalności. Dziennik ten byłby zarazem organem katolików. Bez tego ciągłego przypominania, bez takiej piły niemiłosiernej, nas Polaków galicyjskich, których z lenistwa i apatii, w jakąśmy za Sasów jeszcze popadli, nie zdołały wydobyć ani rozbiór kraju, ani ucisk józefiński, ani rok 46-ty, ani rok 48-my, ani konstytucya, ani autonomia, chyba nic już nie pobudzi do energii.

Około takiego organu prędko poczną się kupić jednostki zdolniejsze i czynniejsze, jakich pomiędzy katolikami dzięki Bogu nie brak, owszem wiece wykazały, że jest ich wiele więcej, niż się spodziewano; a tem samem już spotężnieje i znaczenia nabierze cała organizacya katolicka.

4. Potrzeba wreszcie dziennika otwarcie i stanowczo katolickiego dlatego, że nie mamy ani jednego takiego dziennika w kraju liczącym blisko 6,000.000 ludności, przyznającej się do wiary katolickiej. Chcę i potrzebuję dokładnie to wytłómaczyć. Są w naszym kraju dzienniki katolickie, nawet większa część naszego dziennikarstwa jest katolicką w tem znaczeniu naprzód, że sami redaktorowie wyznają katolicyzm, potem, że te dzienniki życzliwe są Kościołowi, nie chcą mu uchybić, w wielu wypadkach go bronią; ale katolickość ta nie jest ani właściwem znamieniem, ani zadaniem tych pism. Zadaniem ich jest bronić pewnych stronnictw, których są organami, rozwijać pewne sobie właściwe polityczne poglądy. I ztąd mimowoli nieraz się zdarza, że gdy interes stronnictwa tego zdaje się wymagać, pewne interesa katolickie traktuje się chłodno albo pomija milczeniem, a oby się nigdy nie zdarzyło, że w fałszywem je przedstawia się świetle. Niema zaś ani jednego dziennika katolickiego w tem znaczeniu, żeby sprawy katolickie miał za właściwe sobie główne zadanie, a zasady katolickie za swoje kierownicze zasady, na podstawie których chce społeczeństwo odrodzić. Dziennik taki w omawianiu różnych kwestyi i w popieraniu lub w zwalczaniu różnych prądów i spraw musi zawsze na pierwszem miejscu i niezłomnie trzymać się tego w Kościele powszechnie przyjętego zdania św. Augustyna: *In necessariis unitas, in dubiis libertas, in omnibus caritas. In necessariis unitas.* A więc, gdzie chodzi o zasady czyto teoretyczne, czy praktyczne, przez Kościół jako katolickie uznane, tam dyskusyi niemasz według tej zasady: *Roma locuta est, causa finita est. Necessarium* też jest dla każdego katolika, a tem więcej dla organu katolickiego, żeby zachować powinną uległość i synowską cześć dla Biskupów. W podobny sposób jak w państwach konstytucyjnych niema zwyczaju wciągać osoby panującego do dyskusyi parlamentarnej lub dziennikarskiej, tak w Kościele katolickim niema zwyczaju osobę lub działanie Biskupa poddawać publicznej, a nawet i prywatnej krytyce. Biskupi odpowiedzialni są nie przed publiką, ale przed Bogiem tylko i przed Papieżem, a w niektórych nielicznych wypadkach przed swoim Metropolitą i przed synodem prowincyonalnym.

In dubiis libertas; pełno jest kwestyi ani przez definicyą kościelną, ani *per consensum theologorum* nierozstrzygniętych. W takich kwestyach dziennik katolicki

może mieć swoje zdanie, ale powinien też cudze zdanie wyrozumieć i szanować. Stronnictwa a więc i organa ich pospolicie bronią przedewszystkiem zapatrywań **swoich**, które zwykle są tylko w oczach ich własnych pewnikami niezawodnymi, ale nie są nimi ani w oczach ich przeciwników, a tem mniej w oczach Kościoła. Ztąd idzie, że w stronnictwach wyrabia się wcześniej lub później pewna jednostronność, która powoli, a jeżeli zawrzała już walka, to i bardzo prędko wyradza się w stronniczość, posuniętą do zaciekłości, nieznającej żadnych już granic, nawet tych, jakie niewątpliwe zasady katolickie każdemu człowiekowi dobrej woli stawiają. Tem oczywiście nie robi się nic dobrego, jeno pomnaża się zamęt w pojęciach i rozstrój w społeczeństwie.

Dziennik katolicki umie rozróżnić między tem, co jest prawdą bezwzględnie pewną, a tem, co jest zdaniem wątpliwem, a w najlepszym nawet razie tylko prawdopodobnem; rozumie też, że takich zdań wątpliwych jest wiele w teoryi, a nierównie więcej jeszcze w praktyce i taktyce, w ocenianiu osób i faktów publicznych. Ztąd będą u niego szerokie prawdziwie poglądy, obejmujące różne *pro* i *contra*, — będzie siła w afirmacyi prawdy, ale i pewna rezerwa w wyrażaniu zdań, może dla jego redaktorów i współpracowników podmiotowo niewątpliwych, ale przedmiotowo tylko przypuszczalnych, prawdopodobnych, lub jako tako uzasadnionych, a jednak jeszcze niepewnych; będzie wreszcie pewna szczera i uprzejma tolerancya nie dla błędów i fałszów, z którymi organ katolicki nigdy paktować ani zgody, choćby doraźnej tylko, zawierać nie może i nie chce, ale dla zapatrywań, własnym zapatrywaniom przeciwnych, o ile oczywiście z stanowiska katolickiego jeszcze tolerować je można.

Tolerancya taka ułatwia bardzo zachowanie trzeciej części onego prawidła św. Augustyna: *In omnibus caritas.* Dziennik katolicki z natury rzeczy jest członkiem i to bardzo naprzód wysuniętym członkiem Kościoła wojującego, więc nie tylko mu wolno, ale owszem ma obowiązek wojować; atoli powinien zawsze wojować po katolicku, t. zn. dzielnie, nieustraszenie, wytrwale, zręcznie i rozumnie; powinien też, nie wyłącznie tylko i ciągle pozostawać w defenzywie, ale i brać się często do boju wstępnego, by nie tylko odzyskać posterunki dawniej lub świeżo utracone, ale by, jak najdalej tylko może, torować drogę prawdzie Bożej: tego wszystkiego i więcej jeszcze potrzeba; ale z drugiej strony też wojować po katolicku znaczy, że i w opałach walki nie wolno dziennikowi katolickiemu chwytać się broni niekatolickiej.

Najprzód więc, jak mówi przysłowie niemieckie: *der Sache Feind, des Mannes Freund,* zwalczać zasady, wykrywać i niweczyć zamiary przeciwników, ale oszczędzać ich osoby, owszem zachować względem nich szczerą życzliwość i w razie potrzeby usłużność. Znów zapożyczywszy się u Rzymian: *praetor interna non judicat;* jeżeli sędziemu nie wolno, to tem mniej dziennikarzowi nie godzi się posądzać przeciwnika, albo nawet całe stronnictwo o złą wiarę lub złą wolę; bo tyle przynajmniej każdemu nawet zbrodniarzowi należy się szacunku, (który jest niezbędną podstawą wszelkiej miłości), że nie przypuszczamy, aby to złe, którego widzimy, że się dopuszcza, czynił z zupełną świadomością złego, albo gorzej jeszcze, z wyraźnym zamiarem czynienia źle.

Dalej dziennik katolicki pamięta, że P. Jezus o sobie tylko powiedział, że „**kto nie jest zemną, przeciwko mnie jest**", ale Apostołom i uczniom swoim kazał trzymać się nieco odmiennej zasady: „**kto nie jest przeciw wam, ten z wami jest**". Więc jakkolwiek musi być stanowczo przeciwnym wszelkiej obojętności względem Boga i spraw Bożych, ale tych co okazują się obojętnymi względem niego lub w nim nie gustują, poczytuje nie za nieprzyjaciół i przeciwników swoich lub sprawy katolickiej, lecz raczej za materyał do pozyskania dla siebie i dla sprawy.

Stronnictwa i dzienniki, by też zasadniczo antykatolickie i antychrześcijańskie, koniecznie obok licznych błędów zawsze jeszcze mają coś zgodnego z prawdą i sprawiedliwością, podnoszą nieraz postulaty wcale rozumne i będące na czasie; miewają nieraz organizacyą, urządzenia i taktykę wcale dobrze obmyślaną. Byłoby to jednostronnością, nielicującą z miłością i z charakterem katolickim zaprzeczać tych i t. p. zalet przeciwnikom dlatego, że są przeciwnikami; przeciwnie miłość każe uznawać dobre i prawdziwe wszędzie, gdzie ono się znajduje i to chętnie i szczerze, bez drożenia się.

Dziennik katolicki powinien znać dokładnie nie tylko zwykły i każdemu chcześcijaninowi niezbędny katechizm, ale nadto i to szczegółowo, zasady Kościoła odnoszące się do stosunków publicznych i do prądów nowoczesnych. Co najmniej powinien znać dokładnie liczne Encykliki ostatnich trzech Papieży, wywołane potrzebami naszej epoki, mianowicie też tak ważne jak *Syllabus Piusa IX.*, potępiający cały szereg twierdzeń i postulatów liberalizmu i kilka aktów Leona XIII., określających bardzo jasno naukę i stanowisko Kościoła wobec kwestyi tak doniosłych jak o ustroju państwa, o obowiązkach względem klas pracujących i t. d. i t. d. Bez należytej znajomości tych orzeczeń Stolicy św. i bez szczerego przejęcia się niemi, niepodobna być politykiem, a tem mniej dziennikarzem lub nawet mężem stanu katolickim.

Ponieważ zaś dobre i uczciwe nasze dzienniki mało zajmują się wyświecaniem i popularyzowaniem tych tak ważnych i przez Kościół rozstrzygniętych kwestyi, a złe czasopisma tak krajowe jak i zagraniczne nie przestają szerzyć przeciwnych i bałamutnych swoich zapatrywań, dlatego panuje w naszem społeczeństwie przerażający brak jasnych i zdrowych pojęć w rzeczach nawet bardzo elementarnych, który w dalszym następstwie sprawia, że szybkim krokiem zbliżamy się do zupełnej anarchii nietylko w pojęciach, ale i w urządzeniach i stosunkach społecznych. Ażeby złemu temu zaradzić, potrzeba przedewszystkiem przynajmniej jednego albo i kilku dzienników katolickich.

Wreszcie potrzebujemy dziennika **prawdziwie** katolickiego, bo te które są albo dla braku funduszów, albo skutkiem naszej ukochanej indolencyi czerpią swoje informacye o zajściach, stosunkach i osobistościach jedne głównie, inne przeważnie, a niektóre wyłącznie z *N. Fr. Presse*, dobrze, nie przeczę obsługiwanej, ale będącej jawnie i niezaprzeczenie organem liberalizmu i to liberalizmu najgorszego, bo zabarwionego bardzo mocno

iście żydowską nienawiścią do chrześcijaństwa i wszystkiego, cokolwiek ma mniej więcej wyraźną cechę chrześcijańską. Tym sposobem się dzieje, że wielu bardzo z tych, co czytują dzienniki, a nie mają sposobności czerpania swoich informacyi z innych mniej mętnych źródeł, na wszystko patrzą się mniej więcej przez okulary *N. Fr. Presse*. Ztąd tyle u nas niedowierzania względem mężów katolickich i względem samejże Stolicy św., pewna nieufność do instytucyi katolickich, przesadne zaufanie do giełdy i banków przeważnie żydowskich, które kosztowało nas tak grube miliony, że niechby część ich tylko była poszła na rozumne inwestycye w kraju, nie chorowalibyśmy na tak wielki, jaki mamy brak zarobków i pochodzącą z tego braku nędzę, z wszystkimi jej skutkami. Nawet mniemam, że szeroko rozpowszechniony pessymizm, z jakim zapatrujemy się na nasze w kraju stosunki i położenie, zawdzięczamy po wielkiej części przeważnemu wpływowi *N Fr. Presse*. na nasze dziennikarstwo.

Mógłbym jeszcze wiele innych przytoczyć racyi, ale myślę że i to, co się powiedziało, wystarczy, żeby ludzi dobrej woli przekonać, iż potrzeba nam koniecznie i to jak najprędzej przynajmniej jednego dziennika katolickiego. Ale zarzuci nie jeden, że to rzecz niemożliwa albo przynajmniej tak trudna, że niepodobna jej dokonać w krótkim czasie. Sądzę całkiem przeciwnie, choćby dlatego że wiem, iż wiele może, kto musi, a nierównie więcej jeszcze potrafi, kto chce, a chce czegoś szczerze. Istnieje przecież w kraju stosunkowo do jego wielkości i zaludnienia nie wiele, ale jednak cały szereg dzienników, które z pewnością powstały nie cudem, ale zapobiegliwością ludzką. Dla czegoż nas katolików miałoby nie stać na założenie choć jednego dziennika?

Do założenia Dziennika potrzeba głównie pieniędzy, odpowiednich redaktorów i współpracowników i jasno określonego programu. Im więcej będzie pieniędzy, im staranniejszy dobór redaktorów i współpracowników i im więcej będzie przekonywający i zrozumiały program, tem lepszy też będzie dziennik. O każdym z tych trzech czynników w dalszym moim wywodzie. Zaczynam od tego, co jest najtrudniejszem i najważniejszem, a więc od programu. (C. d. n)

X. H. Jackowski T. J.

Dumania powyborcze.

(C. d.) To, o czem pisałem dotychczas, odnosiło się do obu stolic kraju i do zachodniej jego połowy. W Galicyi wschodniej stanęły do walki wyborczej z jednej strony t. zw. stronnictwo konserwatywne polskie i stronnictwo ruskie p. Barwińskiego, cieszące się poparciem rządu, z drugiej zaś strony skoalizowane partye ruskie — moskalofile, narodowcy pokroju romańczukowskiego i radykali — cieszące się poparciem ludowców i stojałowczyków, mimo że jedni i drudzy roszczą sobie jeszcze pretensyą do polskości, a skoalizowani rusini wcale niedwuznacznie głosili antypolskie hasła wyborcze. W Galicyi wschodniej wybory odbywały się na sposób iście węgierski: gwałty, bójki, rozlew krwi był na porządku dziennym. Stronnictwa krzykliwe rzuciły z tego powodu gromy potępienia na rząd i Polaków, zwalając na nich winę i odpowiedzialność całą. Dzienniki polskie w odwecie pisały i piszą o teroryzmie połączonych partyi ruskich i o ich niegodziwej agitacyi, w tem upatrując jedyną przyczynę gwałtów wyborczych. Rząd przez usta p. ministra-prezydenta objawił jasno swoje zapatrywanie; wykazał, że cała wina ciąży na niegodziwej agitacyi i że organa rządowe siły używać musiały do odparcia teroryzmu i zapewnienia swobody wyborczej. Już na pierwszy rzut oka wydaje się, że twierdzenie rządu nie jest bez podstawy: wszak nawet przypuścić nie można, aby organa rządu trzymały się innego sposobu postępowania w Galicyi zachodniej, a innego w Galicyi wschodniej; jeżeli więc w Galicyi zachodniej nie dopuszczały się nadużyć, to dlaczegoż miałyby ich dopuszczać się w Galicyi wschodniej? Tak samo ma się rzecz z stronnictwami polskiemi; tym nawet nie próbował nikt zarzucać, że używały gwałtu lub presyi; co najwięcej, pewne osoby z tych stronnictw posądzano o posługiwanie się fortelami i sztuczkami wyborczemi.

Jeżeli zaś w rzecz się wniknie głębiej, jeżeli się rozważy głosy przeróżnych dzienników i wyniki przeprowadzonych dotychczas rozpraw sądowych, to niepodobna nabrać innego przekonania, jak to, że cała i wyłączna wina roznamiętnienia ruskich chłopów, a wskutek tego gwałtów w okresie wyborczym, ciąży na złączonych ruskich stronnictwach opozycyjnych. Na wstępie wykazałem, jaka sytuacya z biegiem lat wytworzyła się w kraju i w jaki sposób agitatorowie partyi ruskich, a mianowicie partyi radykalnej, umieli z niej korzystać. Z chwilą rozpisania wyborów organizacya radykalna, obejmująca całą wschodnią część kraju, pomnożyła swoję czynność w dziesięćkroć. Przygotowany był teren, przygotowane były siły, a dostarczały ich szeregi młodszych gospodarzy, parobków i w ogóle warstwy najuboższe, pochopniejsze do niekrytycznego chwytania wszelkich nowinek, a wskutek częścią naturalnego częścią sztucznie wywołanego i podsycanego niezadowolnienia przejmujące się gorąco każdem słowem, które padło w agitacyi wyborczej. Warstwy te przeważnie po raz pierwszy dopiero miały korzystać z prawa głosowania, a przez radykałów przygotowane były do tego w sposób, który miał wydać krwawe owoce. Bo też u spokojnego dotychczas i prawie biernego chłopa ruskiego rozbudzono najniższe instynkta i namiętności. Wykazano mu jak na dłoni, że pan bogaci się jego kosztem, że on musi na pana pracować, za pana płacić podatki i daniny, zagrożono mu przywróceniem pańszczyzny i mandataryuszów, przekonywano go że narodowości i mowie ruskiej dzieje się srogi ucisk; tak wzbudzono w nim nienawiść klasową i narodową do panów i Polaków. Nienawiść ta potęgowała się tem łatwiej, że nieuchronny pośrednik wyborczy — żyd, którego stronnictwa polskie, jak zazwyczaj, używały, samem zjawieniem się, a cóż dopiero postępowaniem bezwzględnem i aroganckiem, dolewał oliwy do ognia.

Obok tego umiano zachwiać dotychczasowe zaufanie chłopa ruskiego do władz rządowych, wmówiono bowiem w niego, że władze te są w porozumieniu z panami i dzialają na ich korzyść, a chlopa pragną zgnębić.

Chłopi więc, zwłaszcza młodzi, stali się nietylko zazdrosnymi o swe prawo wyborcze, co byłoby zresztą naturalne, ale wręcz nabrali przekonania że wybór musi wypaść po ich myśli, aby zaś tego dopiąć, nie wzdrygali się przed żadnym środkiem. I oto przyczyna teroryzmu, dokonywanego na wyborcach a mogącego śmiało równać się z teroryzmem, którym Stojałowszczycy w jarosławskiem i rzeszowskiem się chwalą. Dowody tego teroryzmu mamy w tylu procesach powyborczych, mamy w pismach ruskich, które w każdym prawie numerze notują z radością, że tego lub owego chrunia[1]) pobito.

[1]) Chruniem nazywano dawniej chłopa, który głos swój sprzedawał; dziś chruniem zowie się każdy chłop ruski, który głosuje na Polaka lub umiarkowanego Rusina.

Wobec takiego naporu gospodarze poważniejsi i starsi uchylali się od głosowania albo ulegali presyi i głosowali wbrew chęci i przekonaniu, aby ocalić swą skórę. Tych, którzy mimo teroryzm gotowi byli oddać głos nie po myśli radykałów, starano się przemocą niedopuścić do lokalu wyborczego, nie szczędzono im groźb i razów. Przedewszystkiem narażeni byli na to wójtowie, ku którym radykali — jako już z założenia swego wrogowie wszelkiej władzy — wywoływali nienawiść i pogardę, mieniąc ich zaprzedańcami, sługami rządu i Polaków. A i komisarzom wyborczym częstokroć nie lepiej się działo, gdy zaś ku ich ochronie tudzież ku zabezpieczeniu wolności głosowania przyzwano żandarmeryą lub wojsko, podnosił się w całej prasie ruskiej i w radykalnej prasie polskiej wrzask wielki, że rząd nie pozwoli radykałom swobodnie teroryzować innych wyborców. Sfanatyzowani chłopi wietrzyli wszędzie oszustwo i nadużycie, każdego posądzali o podstęp, a nie mając do nikogo zaufania i nie umiejąc rozpoznać, co prawne a co nie, siłą pięści usiłowali wymusić posłuch swej woli a raczej podszeptom radykalnych agitatorów.

W obozie ruskim panowała budująca zgoda w okresie wyborczym; jeden p. Barwiński z swymi zwolennikami odstręczył się i działał w porozumieniu z polskim komitetem centralnym. Wszystkie inne stronnictwa ruskie odłożyły na stronę swe aspiracye osobiste, zapomniały o dzielących je różnicach i złączyły się do wspólnej akcyi w jednym komitecie centralnym, tworząc jednolite organizacye wyborcze po powiatach. Na czele tej organizacyi stali wybitni moskalofile i narodowcy — ale akcya cała odbywała się w duchu radykalnym. A w akcyi tej duchowieństwo ruskie — z nielicznymi wyjątkami — brało udział gorący, w akcyi wybitnie radykalnej, a więc temsamem niekatolickiej, w akcyi prowadzonej w sposób wyżej omówiony a więc w sposób, który z stanowiska katolickiego należy z całą stanowczością potępić. Twierdzenia tego, choćby za nie gromy na nas spaść miały, nie rzucamy lekkomyślnie Duchowieństwo ruskie popierało Dra Frankę, Dra Okuniewskiego, Dra Jarosiewicza, p. Romańczuka; to są fakty, którym nikt zaprzeczyć nie może, fakty, które dowodzą, że zapamiętałość narodowościowa zwyciężyła nad poczuciem katolickiem. Odczytywano z ambon list episkopatu o wyborach — a potem z całym spokojem, nie, z całym zapałem agitowano za Drem Franką. Wierzyć się doprawdy nie chce temu, co dzienniki polskie pisały o agitacyach księży ruskich, a jednak procesy karne wytoczone kilku duchownym, aresztowanie ich, każe temu wierzyć, bo u nas dotychczas, bądź co bądź, stan duchowny szanowano, a jeżeli władze zdecydowały się na uwięzienie księży, to niepodobna przypuścić, że czyniły to bez dowodów, bez podstawy. To zaciekłe rzucanie się w wir agitacyi radykalnej, nie przebierającej w środkach, ta praca na rzecz kandydatów radykalnych musiała podkopać uczucia katolickie u naszego ludu ruskiego, a temsamem narazić na szwank powagę kapłańską, obudzić lekceważenie stanu duchownego. Biada tym, którzy namiętnościom politycznym tak dali się unosić, że zapominali o najświętszych obowiązkach. Ich to działanie najbardziej wiodło lud na manowce, największą mu czyniło krzywdę, bo wydawało i wydaje go na łup radykałom, bo nietylko wzmacnia i potęguje nienawiść klasową i narodową, ale co gorsza podkopuje wiarę. *Schone Seelen finden sich*, to też ks. Stojałowski cieszy się robotą radykałów w sutannach i chce Polaków usunąć z Galicyi wschodniej, aby z niej mieć Ruś w swojem rozumieniu (*Pszczółka Nr. 8*). Dobrana to para i jednakowo działająca: ks. Stojałowski w zachodniej Galicyi, ruscy radykali pod patronatem wielkiej części ruskiego kleru we wschodniej. Biedny ludu polski i ruski; któż uchroni cię od tych wrogów, ku którym biegniesz na oślep, jak ćma leci ku światłu. (C. d. n.)

KRONIKA KOŚCIELNA.

Galicya. Gwoździec. Od 24 kwietnia b. r. do 2. maja odbyła się tu misya pod przewodnictwem OO. Jezuitów Płukasza i Marszałowicza. Do spowiedzi świętej przystąpiło 1350 penitentów obrz. łać. a 136 obrz. gr. Lud garnął się do kościoła, choć niepogoda i pilne roboty w polu stawały na zawadzie jego gorliwości. Dnia 28. kwietnia ciż sami Ojcowie udali się na misyą jednodniową do Dżurkowa, wsi o 12 *klm.* oddalonej od parafii; tutaj także korzystał lud pilnie ze sposobności odnowienia się w duchu i prawdzie.

Wiadomości dyecezyalne.

Archidyecezya lwowska obrz. łać.

Mianowani dziekanami: gliniańskim ks. Błażej Ziemiański, prob. w Kamionce Strumiłowej; brodzkim ks. Stefan Kuryś, prob. w Brodach, złoczowskim ks. Jan Stachów, prob. w Złoczowie.

Instytucyę kanoniczną na prob. w Horożance otrzymał ks. Antoni Rokosz.

Dyecezya tarnowska.

Prezentę na probostwo w Podolu otrzymał ks. Jan Mirecki dotyczasowy administrator w Jaślanach.

Odznaczony rokietą i mantoletą ks. Jakób Przybyło, były proboszcz w Rzezawie.

Zmarli: ks. Józef Kempner, proboszcz w Niedźwiedziu, w 78-mym roku życia, a w 50-tym kapłaństwa, ks. Ludwik Klepko, katecheta w Kolbuszowej, w 33-cim roku życia, a 10-tym kapłaństwa.

Konkurs na probostwo w Niedźwiedziu rozpisany z terminem do 11. czerwca.

Przeniesieni księża: Stanisław Czerski z Niedźwiedzia do Ochotnicy, Ignacy Rajczak z Bolesławia na administratora do Niedźwiedzia.

Dyecezya krakowska.

Odznaczeni. *Mantol. i Rok.* X Stanisław Twardowski, dziekan i proboszcz w Wieliczce; *expositorio canonicali:* X. Józef Pajączewski, proboszcz w Morawicy i X. Andrzej Bański, prob. w Liszkach.

Mianowani: X. Franc. Kondolewicz, proboszcz w Rabie wyżniej, wice-dziekanem dekanatu makowskiego.

Przeniesieni. X. Stanisław Hanusiak, z Rabki do Raciborowic, X. Franciszek Kania, z Raciborowic na posadę drugiego wikaryusza przy kość. par. św. Mikołaja w Krakowie.

Rekollekcye dają: *a)* OO. Jezuici: w Bielowicach (od dnia 24. kwietnia do dnia 1. maja), w Gierałtowicach (od 8. do 15. maja), w Nidku (od 19. do 26. czerwca); *b)* XX. Misyonarze: w Kętach (od 25. kwietnia do 11. maja), w Osieku (od 16. do 24 maja), w Głębowicach (od 24. maja do 1. czerwca); *c)* OO. Reformaci: w Brzeszczu (od 25. kwietnia do 2. maja), w Witkowicach (od 2. do 9. maja), w Bielanach (od 9. do 16. maja), w Grojcu (od 16. do 23. maja).

Wizytacya kanoniczna: Zator 17., 18., 19. maja, Przeciszów 20. i 21. maja, Piotrowice 22. i 23. maja (22. konsekracya kościoła), Polanka Wielka 24. maja, Włosienica 25. maja, Poręba Wielka 26. maja, Grojec 27. maja, Osiek 28. i 29. maja, Brzeszcze 30. maja, Oświęcim 31. maja 1. i 2. czerwca, Bielany 21. czerwca, Kenty 22. i 23. czerwca, Czaniec 24. i 25. czerwca, Bulowice 26. czerwca, Witkowice 27. czerwca, Nidek 28. czerwca, Głębowice 29. czerwca, Gierałtowice 30. czerwca i 1. lipca — 30. konsekracya kościoła.

Zmarli: X. Michał Jurkowski, prob. w Zawoi 30. kwietnia, S. Róża Martanka ze Zgrom. SS. Felicyanek w Smoleńsku w Krakowie 23. kwietnia, S. Marya Dyoniza ze Zgrom. SS. Felicyanek 23. marca, S. Benedykta ze zakonu SS. Karmelitanek bosych na Wesołej w Krakowie 2 maja, przeżywszy lat 75, zakonnej profesyi lat 53.

Administratorem parafii w Zawoi mianowany X. Józef Mamak, wikaryusz tamtejszy.

Konkurs na probostwo w Zawoi ogłoszony z terminem trwania do dnia 31 maja b. r

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.

WYDAWCA I REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: **ks. Z. Lenkiewicz.** Z Drukarni W. Łozińskiego.